Upadek chłopca

Autor: oswojony k, **Gatunek:** Proza, **Dodano:** 19 listopada 2013, 12:29:12

Wystający dwa i pół centymetra ponad inne fragment trzysta czterdziestej trzeciej - licząc od strony rynku - płyty chodnikowej przerwał krok idącego właśnie ulicą Długą w spokojny, jeden z ostatnich wieczorów sierpnia, mężczyzny w wieku lat około dwudziestu pięciu; Organizm, znajdując się przedtem w stanie jako takiego spoczynku, zareagował poprawnie, aczkolwiek nerwowo – otrzymawszy informację od mózgu o nagłej i niespodziewanej zmianie pozycji z pionowej w półpoziomą, dążącą do całkiem poziomej –
spiął natychmiast wszystkie potrzebne członki ciała w pozycji gotowej do przyjęcia kilku zadrapań.
Umysł natomiast - z racji rozważniejszego przez właściciela użytkowania - w pierwszej, decydującej setnej części sekundy zachował się niepomiernie gorzej, mianowicie nie uczynił absolutnie nic; odmowa współpracy z Organizmem nastąpiła samoczynnie i zupełnie nieświadomie.
W trzydziestej drugiej setnej części sekundy dalej nic.
W sześćdziesiątej siódmej nastąpiło zatrzymanie akcji Umysłu; sam Umysł nie miał z tym oczywiście nic wspólnego. Strużka krwi, która musiałaby wyciec z rozbitego na bruku nosa, popłynęła by prawdopodobnie najbliższym przetłoczeniem w betonowej płycie w stronę wymuszoną przez grawitację. Jednak nie popłynęła. Nos nie został rozbity.

Grawitacja pozostała bezużyteczna.

Pomiędzy początkiem a końcem Upadku następuje zawsze Zawieszenie – chwilowy stan bezsilności graniczącej z wszechmocą – trwa on zwykle do siedemdziesięciu setnych części sekundy od momentu początku Upadku. Później już go nie ma. Później jest tylko czekanie na koniec Upadku.

Nie muszę chyba wyjaśniać, że tym mężczyzną, w wieku lat około dwudziestu pięciu, który zaczął upadać potknąwszy się o wystający fragment

trzysta czterdziestej trzeciej – licząc od strony Rynku – płyty chodnikowej, byłem ja. I spieszę od razu z wyjaśnieniem, że Zawieszenie między początkiem a końcem mojego Upadku uległo znacznemu przedłużeniu. Stało się tak z przyczyn mi nie znanych; nie wiem, kto lub co mogło taki właśnie stan wywołać; nie wiem i nie chcę wiedzieć.
Powiedzieć, że to dziwne, to jakby nic nie powiedzieć; sam miałem poczucie dziwności i odrealnienia w związku z tą nietypową sytuacją półtorej godziny przed rozpoczęciem procedury Upadania. Coś musiało się wydarzyć.
Ale po kolei.
Najpierw duży palec u nogi poczuł drętwiejące skutki spotkania z nienaturalnie twardą powierzchnią; Organizm zajął się starannie próbą przywrócenia równowagi, za wszelką cenę chciał tę równowagę przywrócić. Cena była tym wyższa, im słodszy Upadek mnie czekał. Następnie poczułem, gdzieś w okolicach krzyża nieprzyjemne mrowienie; znak, że Organizmowi nie uda się jednak zachować stanu wątpliwej - bądź co bądź - równowagi. Mrowienie z krzyża powróciło w okolice kolan, po to tylko, żeby zaraz poderwać się znowu w górę, prosto do serca, mijając po drodze żołądek i parę innych mniej lub bardziej ważnych organów wewnętrznych (umysł w dalszym ciągu zachowywał się żałośnie; dopiero teraz przypominam sobie, jak przebiegła procedura początku Upadku). Następnie, kiedy już to mrowienie dotarło do skołatanego tym nagłym i niepotrzebnym strachem serca, rozpoczął się drugi etap początku upadania – moja lewa noga została bezwiednie wyrzucona w górę, najpierw spokojnie, powoli, z czasem jednak rozpędzając się i unosząc aż do wysokości kolana. Druga noga odstąpiła od powierzchni chodnika. Upadanie rozpoczęło się na dobre.

Wystarczy, że w dowolnym momencie spaceru ulicą Długą zboczę w jakim mi się podoba kierunku i oto znajduję się w zupełnie innej rzeczywistości. Cały świat jest zlepkiem różnych, mniej lub bardziej ogólnodostępnych form rzeczywistości; rzeczywistość sama w sobie jest już wymysłem. Tak myślałem tego wieczoru, kiedy zacząłem upadać Upadkiem strasznym i jednocześnie najpiękniejszym z pięknych. Mój Upadek wniósł w moje pozbawione sensu życie wiele. Tak przynajmniej wtedy myślałem. Że świat składa się z przeświadczeń. Życie składa się z przeświadczeń. Kiedy po raz pierwszy skręciłem w nie tę bramę, w którą było trzeba, pojąłem zaraz cały nowy porządek rzeczy; zupełnie jakbym trwał w nim od samego początku i jakby nigdy wcześniej nie było inaczej. Wszystko stało się oczywiste, a najbardziej oczywisty stałem się ja sam. I mój Upadek.

Szedłem sobie spokojnie, wysiadłszy z mojego Cinquecento rocznik dziewięćdziesiąty szósty (co to był za samochód!), ulicą Długą. Było to chyba we wtorek lub w czwartek. Dokładnie nie pamiętam. Zresztą, data była dobra jak każda inna. Szedłem, skręciwszy nie w tę bramę, w którą powinienem był skręcić. I nagle znalazałem się w zupełnie innej rzeczywistości - innej, choć znanej mi doskonale. Znalazłem się na opolskim dworcu głównym, jakieś dwa lata przed Upadkiem.

W drzwiach, prowadzących do głównego holu dworca stoi Helena. Włosy zmierzwione, skrzydła, można by rzec – upaprane, kurtka, która kiedyś była biała, albo beżowa, albo jakakolwiek – teraz prezentuje sobą kolorystykę nieokreślonego brudu. Helena jest u siebie, w przestrzeni wyznaczonej z jednej strony ciężkimi drzwiami dworca, z drugiej białą linią, której nigdy nie przekracza. Podchodzę więc do Heleny, ale ta zdaje się mnie nie zauważać. Mówię do niej, witam się, ale ona traktuje mnie bardziej jak powietrze, niż jak intruza. Coś mi nie pasuje. Z jednej strony wiem, że w tym akurat momencie upadam. Czuję to każdym atomem ciała, tę bezwładność, która wypełnia mnie dokumentnie i doszczętnie. Znajdując się jednocześnie na ulicy Długiej i na opolskim dworcu głównym staram się znaleźć jakiś złoty środek pomiędzy tymi akurat dwiema rzeczywistościami; bezskutecznie. Im bardziej jestem na ulicy Długiej, tym bardziej jestem także na dworcu. Im bardziej próbuję znaleźć się na dworcu, tym bardziej jestem także na Długiej. Pewnie można by to jakoś rozwiązać, jednak na chwilę obecną nie widzę takiej możliwości. Zastanawiając się, kiedy Upadek dobiegnie końca, staram się rozejrzeć, nie zwracając niczyjej uwagi.

Dworzec jak dworzec. Co przygnało mnie w tym akurat Upadku do tego akurat miejsca? Może w tej rzeczywistości Helena jest ustawiona domyślnie, może ja tu dalej trwam, może nie ma tutaj żadnego kontrol alt dilejt, może tak naprawdę zostałem na tym dworcu, a na ulicy Długiej nie znalazłem się nigdy. Może to tu zacząłem upadać, nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji.

Teraz czekam. Czekam na zmianę scenografii, nie mogę przecież trwać bez końca na opolskim dworcu głównym, rzeczywistość musi się w końcu zmienić, na lepszą lub na gorszą. Czuję się uwięziony w potrzasku Upadku, który trwałby może maksymalnie dwie sekundy, gdyby nie ta dziwna i osobliwa przypadłość, która dotyka właśnie mnie. Dwie sekundy i po

wszystkim, można się pozbierać, otrzeć obdarte łokcie i kolana, zakląć szpetnie i iść dalej.

Na zmianę rzeczywistości nie muszę czekać długo. Znajduję się teraz w rodzinnym Landzmierzu, ale i tu nie mam zamiaru za długo zabawić, zwłaszcza, że znajduję się w dokładnie trzech różnych rzeczywistościach jednocześnie. Idę przez pole, ulicą Starowiejską, skręcam w Leśny Dwór i dookoła mnie nie ma nic oprócz pustki w z grubsza tylko poukładanej formie. Helena kupuje papierosy. Pod butami trzaskają mi opadłe z drzew suche gałęzie, jest chyba jesień. Na ulicy Długiej zachodzi właśnie sierpniowe słońce. Idę dalej, opatulając się szczelnie kurtką i zapalam połówkę papierosa. Puszczam z ust kształtne kółko i wdeptuję w kałużę. I wtedy właśnie, zupełnie bez zapowiedzi, bez jakiejkolwiek przyczyny pojawia się na horyzoncie – dłubiący patykiem w ziemi – chłopiec.
- Zimno mi – mówi, a ja przyglądam mu się dokładnie. Jest brudny i obdarty, ma na oko może jakieś dziewięć lat, jest niewysoki i dobrze mu z oczy patrzy.
- Idź do domu – odpowiadam.
- Zabierz mnie stąd – prosi i w jego oczach widzę strach.
- Idź do domu – powtarzam, czując, że ta historia nie skończy się wcale dobrze, czując, że ona właściwie już nie toczy się takim torem, jakim powinna.
Chłopiec nie odpowiada już nic, grzebiąc patykiem w ziemi, a ja muszę zostać, stojąc nad nim i wcale mi się to nie uśmiecha.
Podnoszę rękę, ale zaraz opuszczam ją znowu, czując pod dłonią przyjemnie okrągły kształt gałki zmiany biegów. Za mną, na siedzeniu pasażera siedzi Matka i patrząc na mnie smutnym matczynym wzrokiem mówi:
- Nie garb się.
Więc prostuję się na moment, żeby nie robić jej przykrości. Więc odwracam na chwilę głowę, żeby nie widzieć strachu w oczach chłopca. Więc patrzę dokładniej, jak Helena odpala papierosa przed wejściem na dworzec, wychodząc na chwilę z bezpiecznego zakątka. Mrużę więc oczy, bo właśnie znajduję się w pozycji, w której zachodzące sierpniowe słońce świeci mi prosto w twarz. Mijam saksofonistę, stojącego przy ulicy Krakowskiej i grającego smutne melodie. Znam go skądś, na pewno, może nawet kiedyś sam nim byłem. Na chwilę obecną widzę jednak tylko połyskujący w świetle popołudniowego słońca instrument. I nagle wszystko się uspokaja.
I nagle wszystko staje się na nowo rzeczywiste. Chłopiec znika w jakąś nieokreśloną przestrzeń pomiędzy światami. Matka mówi, żebym się nie

garbił, ale jakby ciszej, spokojniej. Jej głos odchodzi coraz dalej i dalej. Nie jest już taki smutny, nic nie jest już smutne, Helena wchodzi z powrotem na swoje dworcowe terytorium, gołębie gruchają jakby weselej, zostaje tylko Upadek i ten Upadek należy dokończyć.

Dokańczanie Upadku wcale nie jest sprawą przyjemną. Zwłaszcza, gdy trwa on
zdecydowanie za długo. Ból, towarzyszący zmianie pozycji z pionowej w poziomą staje się nie do zniesienia. Upadek trzeba dokończyć. Powrócić.